

HALANDŹA OPOWIADANIA MODERNISTÓW WĘGIERSKICH

Wybór

Elżbieta Cygielska

Anna Górecka

Przekład

Elżbieta Cygielska

Anna Górecka

Julia Wolin

Postówie

Elżbieta Cygielska

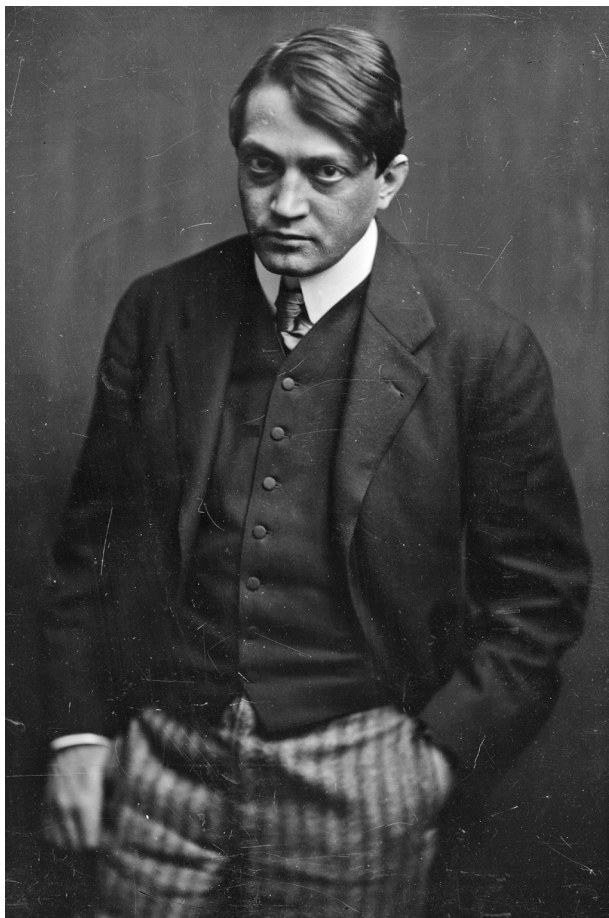
Noty o autorach

Anna Górecka



Endre Ady (1877–1919)

Urodził się w Érmindszent (dziś Ady Endre w Rumunii) w zubożałej kalwińskiej rodzinie szlacheckiej. Uczęszczał do gimnazjów w Nagykaroly (dziś Carei) i Zilah (dziś Zalău). Studiował prawo w Debreczynie, ale studia porzucił. Trzeci tom jego wierszy *Új versek* (1906, Nowe wiersze) zawierał pełne ekspresji, nowoczesne liryki, zwiastujące przemianę węgierskiej dykcji poetyckiej w duchu symbolizmu i secesji. Zadeedykował go Adél Brüll, swojej kochance i muzie. To z nią po raz pierwszy wyjechał do Paryża, który w latach 1904–1911 odwiedził siedmiokrotnie, pełniąc też funkcję paryskiego korespondenta prasy węgierskiej. Kolejne tomy wierszy ugruntowały pozycję Adyego jako innowatora języka poetyckiego oraz radykalnego kontestatora węgierskiej rzeczywistości. Dominującymi motywami były: fatalna miłość, mistyka śmierci, potęga pieniądza, spór z Bogiem, mesjańska misja artysty i rewolucja, która miała przeorać „madziarski ugór”. W późnych zbiorach pojawia się temat wojny i przemijania: *A halottak élén* (1918, Na czele umarłych), *Az utolsó hajók* (1923, Ostatnie okręty). Pod koniec życia schorowany poeta znalazł spokój u boku młodej żony, Berty Bonczy, adresatki prostych liryków miłosnych. Był też utalentowanym prozaikiem, autorem pięciu tomów nowel: *Sápadt emberek és történetek* (1907, Błazi ludzie i historie), *Új csapáson* (1909, Na nowej ścieżce), *Így is történhetik* (1910, Tak też może się zdarzyć), *A tízmilliók Kleopátra és egyéb történetek* (1910, Kleopatra za dzieśięć milionów i inne historie), *Muskétás tanár úr* (1913, Pan nauczyciel Muskétás). Opublikował ponad dwa tysiące tekstów publicystycznych, świadczących o non-konformizmie i pasji polemicznej. Zmarł w Budapeszcie.



ENDRE ADY

w przekładzie Elżbiety Cygielskiej

CZERWONE CHMURY

Drogi Panie Doktorze, niech mnie Pan nie wysyła do Maria Grün czy Margitliget. Sam Pan widzi: nie przychodzę do Pana na wizytę, lecz piszę list. Ja już nie chcę być zdrowym człowiekiem, po diabła mi to. Nawiasem mówiąc, wcale nie czuję się chory, to nie choroba, tylko bezprzykładna komitywa z życiem. Ja już zawsze będę żył, w minutę przeżywając więcej niż legiony tępych filistrów przez całe pokolenia. Co prawda tyle życia to trochę za wiele dla takiego wrażliwca jak ja. Lecz niech się Pan o mnie nie martwi, Drogi Doktorze. Znam takie miejsce, bardzo kuszące, urokliwe i ukryte, przez które nocą przejeżdża pociąg pośpieszny. W końcu człowieka z wyrafinowanym umysłem stać na to, żeby w stosownej chwili położył głowę na szynach. To wielce krzepiąca perspektywa dla kogoś, kto zdecydowanie zaczyna mieć dość życia.

Nie będę opisywał Panu objawów, bo żadnych nowych objawów nie mam. Od trzech dni wstyd mi, że chciałem zdać się na lekarzy. Lekarze potrafią czasem wyleczyć wrzód czy zaopatrzyć ranę. Potrafią wpłynąć sugestią na system nerwowy mniej skomplikowany niż ich własny. Ale cóż mogą począć z tymi, którzy

są całkowicie wolni? Którzy czują życie, odkąd życie istnieje, i nie boją się wyciągać wniosków ani ponosić konsekwencji? Cóż mogą, coź potrafią z nimi począć, Drogi Doktorze?

Jest Pan fanatykiem swojej profesji, zapewne poda Pan mój list analizie, będzie tropił w nim przejawy patologii. Niech Pan to zrobi, Drogi Doktorze, jeśli to Pana bawi. Taki zdrowy, jakim Pan chciałby mnie uczynić, nie będę, bo nie mogę. A może też nie chcę, żeby Pan mnie cudotwórczo uzdrowił, nawet gdyby Pan mógł. W końcu ani Pan, ani nikt inny ze współczesnych nie może o sobie powiedzieć, że jest wszechwiedzący. Czyżby Panowie znali całą paletę ludzkich możliwości?

Ja wiem, że nie. Wiem również, że dla Panów, reprezentantów Ich skromnej dziedziny wiedzy, będę kimś w rodzaju człowieka zagadki.

Mówiłem już i powtórzę: pokonałem czas. Bez opium czy innych środków wywołujących delirium żyję, kiedy chcę, i tyle, ile chcę.

Pozwoli Pan, że coś Panu opowiem? Żeby Pana nieco zmartwić, albo może rozerwać, Drogi Doktorze.

Wie Pan, że pomieszkuję w hotelach, a mój tryb życia niezupełnie odpowiada przyjętym normom. Dzisiaj chciałem sobie uciąć krótką drzemkę w ciągu dnia. W dużym hotelu panował zgiełk, przez okno zaglądała wiosna. Najpierw zauważyłem, jak w moim kierunku płyną czerwone chmury, i wybuchnąłem płaczem. Płakałem, bo nauczyciel był wobec mnie grubiański. A ja czułem, że niesłusznie, potrafiłem bowiem cofnąć się do czasów przedszkolnych, kiedy wszyscy byli dla mnie mili. Ale minął rok, gorzko-słodki rok sztubaka. Przyniósł mi wiele nowych doznań. W końcu nawet ów nauczyciel mnie polubił. Lata płynęły i oto idę do gimnazjum prowadzonego przez zakonników. Nowy

świat, nowe święte zdarzenia: miasto. Interesują mnie już dziewczyny: Otilia i inne, a wszystkie dla mnie okrutne. Na studia jadę do innego miasta. Z rok czy dwa ze zgrozą przyglądam się sobie, swojej duszy. Jakaż to rogata i jaka nienasycona dusza. Dokąd i jak długo będzie tak cwałować? Każdy mój dzień jest pełen wydarzeń, na każde najmniejsze drgnienie życia moje serce potężnie rezonuje. Żyję intensywnie, zachłannie, bo chcę żyć, czerpać z życia garściami. Nie omijają mnie katastrofy. Bo sam ich nie omijam. Czasem podnieca mnie sława. Walczę o nią, a kiedy już ją mam, zbaczam z drogi. I dalej biegnę, wiem, że na mnie czekają. Nie obchodzi mnie, kim są, ale wychodzę im naprzeciw.

Fantastycznie podnieca mnie podróż. Wielkie miasta i egzotyczne pejzaże pozostawiają we mnie żywe ślady, których strzegę niczym relikwii. Mając trzydzieści lat, uciekam z paszczy śmierci. Nie jest to moja pierwsza ucieczka. Oglądam pokiereszowanych ludzi. Nasz pociąg uległ potwornej katastrofie. Dlaczego i ja nie leżę tam martwy? Dowiem się po paru dniach. Znów muszę cierpieć przez kobietę, tę, którą kochałem najbardziej ze wszystkich.

I już przyszła jesień. Z przymrozkami, oszroniła mi duszę. Całymi dniami stoję przed lustrem i nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Włosy mi siwieją? Moje lśniące, kasztanowe włosy?

Lecz jednak kobiety nadal przewijały się przez moje życie. Widzę je wszystkie. O każdej mogę powiedzieć, w czym jej pocałunek był lepszy od pocałunków pozostałych. Dostałem od losu, niezasłużenie, pogodną starość. Spojrzałem wstecz, aż po horyzont. Nie widziałem niczego, co byłoby pozytywne, sama marność. Ale jakże piękna potrafi być taka marność nad marnościami. Zresztą mam w tym swój udział, i to niebagatelny.

Swojej śmierci nie pamiętam. Przyszedł André, boy hotelowy. Coś krzyknął i znów ujrzałem czerwone chmury. Były w hotelu, zmierzały ku innemu szczęściarzowi, który właśnie spał.

Spojrzałem na zegarek. Ta drzemka nie trwała nawet pół godziny. Wystarczyło mi dwadzieścia pięć minut na jedno bogate życie. Pan, Drogi Doktorze, uważa, że to za mało? Każdy cios i każdą pieczętę odczuwałem tak, jak nikt ich nie odczuwa. Są we mnie miliardy egzystencji, życie pomnożone przez nieskończoność. Barwne, gęste, wspaniałe. A Pan, Drogi Doktorze, chciałby dla mnie odzyskać kawałek trzeźwego, zwykłego życia. Bo to byłoby zdrowe życie. Czy ja naprawdę potrzebuję tego kawałka? Nawet gdyby Pan potrafił go dla mnie odzyskać? Nie potrzebuję go. Proszę mi wybaczyć, Doktorze, ale nie będę Pańskim pacjentem. Żyję, a jakże, pełnią życia. Jak nikt inny. I nie pozwolę kuglarzom wykastrować swojego systemu nerwowego z tego, co w nim wyjątkowe, wybitne. Zresztą nie wierzę w ich wiedzę lekarską. Gdyby to jednak była prawdziwa wiedza, to niniejszym zabraniam Panu składać mnie, podnosić z martwych, jeśli pociąg po mnie przejedzie.

[1906]

BŁĘKITNY SEN

W Monachium, spokojnym, cichym mieście, pięciu ludzi odkryło kiedyś wyspę błękitnego snu. U brzegów Izary są takie cudowne wyspy. Pławią się w piwie i dziecięcej beztrosce. Myślę, że żyje na nich wielu duchowych robinsonów.

Tych pięciu ludzi zetknął ze sobą tajemniczy figiel losu. Pochodzili zresztą z tej samej ziemskiej dziedziny. Rekrutowali się ze skazonych przedstawicieli gatunku ludzkiego, których na ogół nazywamy artystami. Jeden z nich malował, inny tylko marzył. Ktoś może nawet pisał, a wszyscy lubili muzykę.

Myślę, że pora już zdradzić ważną rzecz: dwie osoby z tej piątki były kobietami. Jedna, do której zwyczaj nakazuje zwracać się per pani, miała męża i może nawet kochanka. Męża jednak porzuciła i przyrzekła sobie, że miłości również poniecha. Odtąd wszystkie marzenia zamierzała przelewać na płótno, podniecały ją kolory.

Druga była panną. Niewinną i nieśmiałą, a zarazem krewną tej pierwszej. Ta dziewczyna, wciąż dziewica, uciekła przed miłością, której nie знаła, a która budziła w niej lęk.

Pod adresem satyrów: uwierzcie, że istnieją takie kobiety. Delikatne kwiaty, które – gdyby było ich więcej – czyniłyby ziemię piękniejszą i bardziej wonną.

Mężczyźni byli chyba chorzy na nerwy. Wszyscy trzech młodzi, ale z tych, co mieli już prawo osiąść na wyspie snu. Popłynęli więc ku niej – tutaj, w Monachium. Chcieli się ukryć przed życiem, i pewnie również przed kobietami. Z premedytacją rozbudzili w sobie artystę, by móc się obejść bez miłości. To stary i nieskuteczny sposób samoobrony, stosowany przez co słabszych i bardziej uczuciowych mężczyzn. Skoro więc mężczyźni uciekali przed kobietami, a kobiety przed mężczyznami, to musieli się spotkać. Nie sposób uciec z pola miłosnej bitwy, żeby nie natknąć się na drugą płęć.

Na wyspie błękitnego snu panowało szczęście. Każdy każdemu okazywał szczerą czułość. Nigdy jeszcze żarłoczny demon pocałunku nie zapadł w równie głęboki letarg, jak pośród owej piątki.

Wiosna tych ludzi zbliżyła: aż do zmięzchu bładzili razem po brzegu Izary albo po wielkim angielskim parku. Latem wspólnie wędrowali w poszukiwaniu ochłody. Jesienią na zmianę pijali ze sobą herbatę i dzielili się najświętszym, najsubtelniejszym smutkiem, płynącym z bólu istnienia, bo dla niektórych taki smutek to prawdziwa słodycz późnym jesiennym popołudniem.

Kochali się i wzajemnie wspierali w swoich, często smętnych, dywagacjach na temat sztuki. Z góry wiedzieli, jaką cichą melodię dobyć z pianina, jeśli któreś z nich westchnie. Wyspa błękitnego snu była cudowną oazą. I bezpieczną, bo monachijska dusza, nieskora do

gwałtownych wylewów, nie zagraża nawet najdziwniejszym sennym wyspom.

Kobieta dysponująca większym doświadczeniem była najbardziej błękitna spośród pięciu osób zamieszkujących błękitną wyspę. Emanowały z niej, urodziwej kapłanki jakiejś nowej, dziewiczej romantyczności, czystość i duchowość. Och, prawdziwie czysti potrafią być tylko ci, którzy zakosztowali już grzechu.

Brutalność miłosnych żądz i pocałunków omijała więc z daleka wyspę tych pięciorga kochających się niczym postaci z żywego obrazu czy rzeźby. Kochali się, podobnie jak kochali nowego rodzaju muzykę, tę białą ciszę, to tajemnicze milczenie, wiosnę czy smutek jesieni.

Żadne z nich nie wybierało się nigdzie, nie zamierzało opuścić błękitnych okolic Izary, czuli, że sama myśl o wyjeździe zatopiłaby ich wyspę snu. Czuli też, że przyjdzie im tutaj doczekać końca, który wcale nie będzie smutny. W piątkę wezmą się za ręce, coś zaśpiewają i błękitna wyspa cicho zatonie wraz z nimi.

Trudno powiedzieć, jak długo by tam razem żyli. Bo choć byli dziwnymi, to jednak prawdziwymi ludźmi. Już dawno, bardzo dawno pogrzebali mit, że życie to burze i pocałunki. A niby z jakiego innego powodu uciekliby do spokojnego Monachium? Jeśli nie strawi mnie gorączka, sam też kiedyś poszukam tam schronienia. Żeby u schyłku mych dni całowała mnie cisza.

Lecz nie zdążę już znaleźć wyspy błękitnego snu. Ani śladów tej piątki. Pełen żalu, w pośpiechu, opowiem tylko, co się wydarzyło.